

I nagroda

Jan Zdechlik (VIII C)

Nóż w wodzie

Wiało dwójką, może trochę mocniej. Półwiatrem. Łódka przechylała się na lewą burtę coraz bardziej. Skrzypienie masztu było coraz głośniejsze. Odbiłem sterem lekko w prawo i ustawiłem nas tyłem do wiatru. Łódka stęknęła, a żagiel załopotał wyraźnie zluzowany. Byliśmy na północnych Śniardwach. Zablokowałem ster i zszedłem do kabiny. Kasia spała, Tom grał na telefonie, tata coś czytał, a wujek sprawdzał mapę. Nalałem sobie herbaty i z kubkiem w dłoni wróciłem za na pokład.

– Przy takim wietrze nie mamy co liczyć na pływanie. Trzeba wracać – rzucił wujek z głębi kajuty – nie jest daleko, za godzinę dopłyniemy do mariny, jeśli powieje, możemy płynąć dalej, nawet do Mikołajek. Po drodze możemy się gdzieś zatrzymać, żeby kupić coś do jedzenia – dodał.

– Jasne – odparłem – odchodzę na Tałty.

Prawdę mówiąc nie miałem ochoty na dłuższą rozmowę, w tej chwili chciałem po prostu zostać sam ze swoimi myślami. Na szczęście wujek nie kontynuował rozmowy. Położył się na koi i chwilę później mogliśmy już usłyszeć jego chrapanie. Dobrałem szota i łódka drgnęła jakby poczuła ukłucie ostrogi. Wyostrzyłem, łódka stęknęła i żagiel napiął się jeszcze bardziej. Płynęliśmy. Po prawdzie całkiem szybko. Byliśmy prawie w połowie drogi, kiedy poczułem się dziwnie. Jakby coś złego miało się wkrótce wydarzyć. Gdy zbliżyliśmy się do kanału, przyszedł tata i powiedział, żebym poszedł do środka, bo teraz jego kolej przy sterze. Obudziłem wujka, który razem z tatą usiadł przed kabiną, a ja położyłem się na wolnej koi. Nie pospałem długo, bo Tomek, któremu skończył się już czas na telefonie, przyszedł i zaczął mnie wypytywać o Minecrafta i inne gry, na których nie znałem się za dobrze, bo mało w nie grałem. Gry szybko mnie nudziły. Wolałem spędzać czas na myśleniu o „niebieskich migdałach” i innych nieistotnych sprawach, które w życiu codziennym nie miały prawa się wydarzyć. Nagle usłyszeliśmy głośny trzask. Był tak głośny, że obudził nawet Kasię, którą z reguły trudno jest obudzić. Wybiegłem na pokład i rozejrzałem się dookoła.

– Jak rany, ster! Ster nie trzyma!!! – krzyczał tata.

– Jak to nie trzyma ? Co tam znowu? – usłyszałem irytację w głosie wujka.

Niestety, ster istotnie nie trzymał, latał teraz luźno na lewo i prawo, a łódka pozbawiona sterowności bezwładnie kręciła się w kółko, odpadając coraz bardziej od wiatru. Nie wiedzieliśmy, co się stało, ale jedno było pewne – ster nie działał. Szybko zrefowaliśmy do połowy foka, grota zdjęliśmy całkowicie. Ale problem tkwił w innym miejscu. Nie mając sterowności, nie kontrolowaliśmy łódki i nie mogliśmy płynąć dalej. Ba, nie mogliśmy nawet przybić do portu, nawet gdyby widać go było w pobliżu. Niestety, brzegi były puste, a okolica całkiem dzika i trochę straszna. Powoli zmierzchało i naprawdę zacząłem się bać. Rozejrzałem się rozpaczliwie wokół.

– Patrzcie, tam jest jakiś dziki pomost – krzyknąłem, ale zaraz tego pożałowałem, ponieważ pomost ten był zaniedbany, stary i konkretnie połamany. Z braku innej możliwości zdecydowaliśmy się do niego przybić. Pomagając sobie pagajami, z wolna zbliżyliśmy się do pomostu. Wujek wskoczył do wody z liną, dopłynął na brzeg i pociągnął nas do siebie. Przycumowaliśmy łódkę do dwóch drzew i wyszliśmy na ląd.

– Nie ma zasięgu – powiedziała Kasia.

Nasze położenie okazało się gorsze niż myśleliśmy – nie było zasięgu, nie mogliśmy więc zadzwonić po pomoc do mariny, z której wypożyczyliśmy łódkę. W dodatku znajdowaliśmy się przy pomoście należącym do kogoś, kto mógł nie potraktować nas przyjaźnie.

– Nie ma wyjścia, musimy sprawdzić czy nie da się tego naprawić – powiedział tata – inaczej będziemy musieli tu nocować. Dzieciaki, nie kręćcie mi się tu po pokładzie. Janek, weź Tomka i idźcie sprawdzić, co jest za tymi drzewami. Może ktoś tam mieszka?

Nie byłem zachwycony tym pomysłem. Jestem raczej tchórzem i niepewnie czuję się w nieznanym miejscu. Ale tym razem zdecydowałem, że pójdę, czego miałem już wkrótce pożałować. Razem z Tomkiem poszliśmy kamienistą drogą w kierunku ciemnego zagajnika. Wkrótce dostrzeżliśmy wśród drzew okazale wyglądający dom. Okazale to mało powiedziane, w zagajniku kryła się ogromna ogrodzona posesja, na której stała ogromna willa. Niedaleko domu stała duża altana, dwa duże garaże, cztery samochody, budynek gospodarczy przypominający jakiś domek gościnny, murowany grill i mały plac zabaw. Dom wyglądał jakby mieszkańcy byli w środku. Podbiegliśmy do bramy i zadzwoniliśmy domofonem. Czekaliśmy chwilę, ale nikt nie odpowiadał. Obeszliśmy dom dookoła i okazało się, że za domem znajdował się duży ogród. Był również ogrodzony, ale w ogrodzeniu zamontowano niewielką bramkę. Zaskakująco, była uchylona. Zaniepokoiłem się. Zazwyczaj ludzie w takich posiadłościach trzymają psy, których w tej chwili trochę się obawiałem. Spodziewałem się, że mogą nie być szczęśliwe, widząc obcych w ogrodzie. Tomowi to nie przeszkadzało.

– Otwarte – krzyknął. I wbiegł do środka zanim zdążyłem zareagować. Pobiegłem za nim i w mgnieniu oka znalazłem się na werandzie.

– Janek, patrz, tam w środku – Tomek przyklepił nos do balkonowych drzwi.

W salonie leżały przewracane krzesła, na środku stał stół, na którym leżały pistacje i orzeszki ziemne. Niedopite napoje w szklankach, przewrócony kubek, plama jakiegoś rozlanego płynu... Wszystko wyglądało jakby mieszkańcy porzucili to miejsce w popłochu. Zastanawiałem się, co się tutaj stało. Nagle ze strony altanki dobieg nas odgłos przypominający pęknięcie szkła. Odwróciłem głowę i... zamarłem. Zobaczyliśmy kogoś ubranego na czarno, patrzącego na nas w milczeniu. Mimo że jeszcze nie było całkiem ciemno, nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Nie miał twarzy, ale w ręce trzymał jakiś metaliczny pręt. Bagnet? Maczeta? Nie musiałem ponaglać Tomka, z krzykiem uciekliśmy stamtąd i pobiegliśmy do łódki, żeby opowiedzieć dorosłym, co zobaczyliśmy. Opowiedzieliśmy im wszystko, na co oni kazali wejść nam do łódki i czekać tam na nich. Chwilę później wrócili i powiedzieli, że nikogo tam nie ma. Tata poprosił, żebym poszedł z nimi i pokazał, gdzie konkretnie zobaczyłem tę postać. Kiedy zaprowadziłem ich w tamto miejsce, tajemniczego człowieka już tam nie było. Dorosli chcieli go jeszcze poszukać, ale w oddali usłyszeliśmy krzyki Tomka i Kasi. Pędem pobiegliśmy do łódki. Roztrzęsiony Tomek wrzeszczał, że widział tego człowieka przy brzegu tuż koło łódki. Kasia twierdziła, że nikogo nie widziała, ale sama krzyczała, bo Tomek strasznie wrzeszczał. Zdezorientowani tata z wujkiem stwierdzili, że nie możemy zostać tu dłużej i że udało się tymczasowo naprawić ster. Bez zbędnej zwłoki, przy spazmach Tomka – uciekajmy, uciekajmy stąd – szybko odbiliśmy od rozpadającego się pomostu. Zaskakująco, do końca rejsu nikt nie miał ochoty rozmawiać o dziwnym zdarzeniu

Kilka dni później, kiedy już wróciliśmy z Mazur, w Internecie znalazłem nagłówek artykułu o tajemniczym zniknięciu rodziny z wielkiej posiadłości na Mazurach. Natychmiast pojechaliśmy na policję i złożyliśmy zeznania o tajemniczym człowieku. Jak przyznał policjant, sprawa jest całkiem dziwna – rodzina zniknęła bez śladu, choć na miejscu nie było żadnych śladów przestępstwa. Po prostu mieszkańcy zniknęli bez śladu. Jedynym dziwnym znaleziskiem była ogromna maczeta zatopiona przy starym pomoście na skraju posiadłości. Sprawa do dziś nie została rozwiązana.